

# **SIR ALEX Ferguson**

*tłumaczenie*  
MICHAŁ POL  
PIOTR CZERNICKI-SOCHAL

# **FUTBOL cholera jasna!**

**PATRICK BARCLAY**

KRAKÓW 2012

**BEZ WĄTPIENIA**





---

## Wśród idiotów

---

WIATRY ZNAD MORZA PÓŁNOCNEGO bez ustanku nacierały na tylną ścianę Beach End, która pozostawała niewzruszona. Beach End miało z tym do czynienia każdego wieczoru. Choć najbardziej odsłonięta trybuna należącego do Aberdeen Football Club obiektu Pittodrie Stadium jest nazwana całkiem trafnie, warto dodać, że kalifornijskie Malibu czy australijskie Manly Beach nie muszą się martwić o swoje miejsca w światowym rankingu przyjemnych, podmiejskich nabrzeży...

Wiatry wciąż wyły, ale na trybunach hałas dawno już ustał. Cała dwudziestoczwartotysięczna publiczność maszerowała przez Merkland Road w stronę centrum miasta. Najpóźniej, jak zawsze, wyszli młodzi łowcy autografów i ich rodzice. Uprzątnięcie tego, co pozostało po meczu pomiędzy Szkocją a Anglią – ćwierćfinałem mistrzostw Europy U-21, zakończonym bezbramkowym remisem i odpadnięciem Szkotów, którzy nie odrobili strat z przegranego pierwszego meczu w Coventry – było zadaniem dziennikarzy, starannych woźnych futbolu.

Poważny Alex McLeish, ponury Steve Archibald, chłopięcy Alan Brazil – wszyscy dokładnie zakamufłowali wszelkie przejawy żalu. Triumfalni Anglicy, wśród których znajdowali się tacy przyszli giganci jak Terry Butcher i Glenn Hoddle, starali się nie wyglądać zbyt wyniośle, gdy szacowali swoje szanse na przejście całego turnieju i sięgnięcie tej wiosny po tytuł mistrzów Europy. Jednak, co naturalne, tryskał z nich optymizm

(okazał się przesadzony, ponieważ w następnej rundzie przegrali u siebie i na wyjeździe z Republiką Federalną Niemiec). Dla dziennikarzy piłkarskich była to rutyna – później wszyscy szli do łóżek lub barów – więc w tę marcową noc 1980 roku mała grupa przyjezdnych z Anglii, po zdobyciu tak zwanych „wypowiedzi”, przygotowała je do publikacji i podyktowała przez telefon redakcjom w Londynie (przesyłanie materiałów z laptopa było dopiero melodią przyszłości), by następnie bezwiednie wyłączyć się na ciemne ulice Aberdeenu w poszukiwaniu ukojenia.

W tym momencie reflektory lśniącej limuzyny opuszczającej parking na Pittodrie uprzejmie wskazały wyjazd na Merkland Road. W oknie po stronie kierowcy pojawiła się twarz Aleksa Fergusona. Choć nie zaczął jeszcze pracy w angielskim futbolu, był znany części z nas jako mocny, młody menedżer Aberdeenu, mającego wkrótce sięgnąć po pierwszy z trzech tytułów mistrza Szkocji zdobytych pod jego wodzą.

– Gdzie idziecie, chłopaki? – spytał.

– Do najbliższej taksówki, która zabierze nas do hotelu – usłyszał. Jeśli czuł pokusę, by ponabijać się z Angoli, którym Merkland Road pomyliło się najwyraźniej z Park Lane w centrum Londynu, to jej nie uległ.

– Nigdy nie znajdziecie tu taksówki o tej porze – powiedział. – Wskakujcie...

Dzięki temu i innym spotkaniom Ferguson został uznany przez angielskie środowisko piłkarskie za równego gościa. Z taką reputacją przyszedł w 1986 roku do Manchesteru United, zastępując w roli menedżera Rona Atkinsona, który zostawił drużynę na dziewiętnastym miejscu w starej, liczącej dwadzieścia dwa zespoły First Division. Wyniki się poprawiły, ale nie na stałe. W sezonie 1986/87, choć utrzymali się w ekstraklasie, United przegrali między innymi z Wimbledonem (dwukrotnie), Oxford United, Norwich City i Luton Town, a kibice, w tym jego własni synowie, nie byli przekonani do Fergusona. Mój znajomy powiedział, że powtarzał swoim synom, by zachowali cierpliwość i pamiętali, że wszyscy w klubie uważali Szkota za „dobrego chłopaka”. To nigdy ich nie uspokajało.

– Dobry chłopak! – parskali. – Nie chcemy dobrego chłopaka. Chcemy gnoja, który zdobędzie nam mistrzostwo!

Dostali i to, i to. Ferguson poprowadził United do jedenastu tytułów ligowych i stał się znany jako jeden z najsurowszych ludzi w futbolu, a jego byli piłkarze darzą go o wiele mniejszą sympatią niż wskazują na to ich publiczne wypowiedzi. Nie wyrywa się już też do zapraszania angielskich dziennikarzy do swojego samochodu. Jakies dwadzieścia dwa lata po jego geście z Aberdeenu – był maj 2002 roku, dzień przed wizytą drużyny Arsenalu, która przyjechała potwierdzić, że pożyczca na rok tytuł mistrzowski – spotkał się z wysłannikami gazet. Na samym początku został poproszony przez człowieka z „The Sun” o ocenę pierwszego sezonu Juana Sebastiána Veróna w United. Jednak Ferguson chciał najpierw poznać zdanie reportera, który odparł, że według niego Verón nie był wart swojej ceny. Szkot wybuchł i skończył konferencję zanim na dobre się zaczęła.

– Nie chcę was widzieć! – krzyczał. – Już z wami, kurwa, nie rozmawiam. Verón to zajebisty zawodnik. Jesteście pieprzonymi idiotami!

W pewnym stopniu było prawdą, że Verón miał w sobie nutkę geniuszu. Po raz pierwszy zobaczyłem go, gdy grał dla Argentyny w sparingu z Brazylią na Maracanie w Rio de Janeiro w 1997 roku. Nie miał jeszcze nawet dwudziestu dwóch lat, a już występował we włoskiej Sampdorii. Był tak niestrudzonym i utalentowanym elementem linii pomocy, że porażkę 0:1 Brazylijczycy mogliby uznać za sukces. Wyglądał na potencjalną gwiazdę zbliżających się mistrzostw świata we Francji, ale pomimo całkiem imponującej postawy w meczu z Anglią, w którym czerwoną kartkę zobaczył David Beckham, Verón nie spełnił wszystkich oczekiwań. Potem przeniósł się do Parmy, a wreszcie do Lazio, skąd Ferguson kupił go za dwadzieścia osiem milionów funtów.

Po swoim wybuchu Szkot zatrzymał Veróna na kolejny sezon, by następnie sprzedać go za piętnaście milionów funtów do Chelsea, gdzie też nie przetrwał zbyt długo. Później znów był przez chwilę we Włoszech, w Internazionale, ale ostatecznie wrócił do Argentyny, by dołączyć do

Estudiantes de la Plata. I odniósł tam taki sukces, że Diego Maradona przywrócił go do reprezentacji narodowej i zabrał na mistrzostwa świata w 2010 roku.

Dlaczego w Anglii Verón okazał się klapą? Najbardziej prawdopodobna odpowiedź jest taka, że na półmetku kariery zabrakło mu determinacji, potrzebnej każdemu piłkarzowi chcącemu zabłysnąć na Wyspach. Jednak nie ma żadnych wątpliwości, że tym razem idioci mieli rację – a Fergusonowi z pewnością nie podobała się krytyka ze strony ludzi, których uważał za podgatunek.

Nie zawsze tak było. Dorastał w Szkocji jako piłkarz w latach, w których można było zaprzyjaźnić się ze zwykłym człowiekiem, który często okazywał się później dziennikarzem. Ferguson twierdzi, że pewnego razu, gdy był zawieszony na zagraniczny mecz Rangersów, on i jego kolega z drużyny, Sandy Jardine, usiedli na trybunie prasowej i napisali relację ze spotkania, która została wydrukowana pod nazwiskiem dziennikarza ze „Scottish Daily Express”. Jednak z biegiem lat, poza utrzymywaniem znajomości z takimi weteranami jak Hugh McIlvanney z „Observera”, a potem „Sunday Timesa”, Ferguson nabierał pogardy dla tego, czym stała się prasa.

Miało to podstawy. Tendencja do spekulowania i wyolbrzymiania zaczęła się ujawniać nie tylko w tabloidach, ale też poważnych gazetach, nie wspominając o takich wyczynach, jak podsłuchiwanie rozmów, czego ofiarą padli między innymi Sven-Göran Eriksson i nieszczęsny prezes FA, Lord Triesman (ustąpił ze stanowiska w maju 2010 roku po tym, jak przyłapano go na kontrowersyjnych wypowiedziach dotyczących walki o organizację mistrzostw świata w 2018 roku).

– Nie chodzi nawet o dziennikarzy, ale o to, do czego są zmuszani przez swoje gazety – powiedział mi kiedyś Ferguson. Łatwo się z tym zgodzić...

Nie był zbyt przekonujący, gdy lekceważył niektórych młodszych dziennikarzy za zakładanie „rozdartych dżinsów” na jego konferencje, tak jakby sam nigdy nie przyszedł w dresie czy nawet krótkich

spodenkach. Ferguson nie zdawał sobie sprawy z takich braków konsekwencji i było to jego bronią, a narastające sukcesy tylko to podkreślały. Może nieustannie narzekać na niesprawiedliwość, jednocześnie zachowując się nie fair w stosunku do arbitrow. Może domagać się szacunku, samemu zachowując się opryskliwie. Pewnego razu w Birmingham reporterka telewizyjna Rebecca Lowe zadała mu grzeczne pytanie, na które odparł: „Oglądałaś mecz?”

To był wczesny etap sezonu 2009/10, gdy miał sześćdziesiąt siedem lat. Sir Bobby Robson, którego Ferguson podziwiał, był w podobnym wieku, gdy przeprowadziłem z nim wywiad wykorzystany w biografii José Mourinho.

– Pozwól, że powiem ci, co dzieje się z trenerami, którzy odnoszą sukces – mówił Robson. – To przytrafiło się również mnie. To się dzieje z nami wszystkimi. Zdobywamy trochę władzy, prawda? Ten sukces... wiesz, co sobą reprezentujesz... wiesz, co ludzie o tobie myślą. A ta władza, ta kontrola, którą masz nad ludźmi, w końcu się w tobie zakorzenia. Wykorzystujesz swoją pozycję, by stawać się potężniejszym, niż tak naprawdę jesteś.

Pod koniec lata 2009 roku w katedrze w Durham odbyło się nabożeństwo żałobne poświęcone sir Bobby'emu, a Ferguson dał wspaniałe czułe wystąpienie, tak jak zawsze, gdy jest proszony o mowę pożegnalną (mówi się, że nikt inny nie pojawił się na tak wielu pogrzebach, co samo w sobie daje nam zupełnie odmienne spojrzenie na człowieka, który ma tak wiele innych rzeczy na głowie). W pociągu powrotnym do Londynu usiadłem obok McIlvanneya i skorzystałem z możliwości, by spytać go o jego przyjaciela.

– Alec – powiedział (skrótowe imię Fergusona zaczęto wymawiać „Alex” dopiero po tym, jak opuścił Szkocję) – to dobry człowiek.

McIlvanney na tym poprzestał, choć wiedział, że oczekiwałem trochę głębszej analizy. Jednak nikt, rzecz jasna, nie jest tak prosty. ☺